NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy. jednoszpaltowy 10 Mp.. za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 9. kwietnia 1921. Nr. 15.

Zamordowanie byłego wielkiego wezyra



Student armeński Pallirian, zabija wystrzałem z rewolweru byłego wielkiego wezyra Talaat baszę.

Zamordowanie b. wielkiego wezyra.

(Do ilustracyi tytułowej).

Rząd turecki dopuszczał się stale gwałtów nad innemi narodowościami, zostającemi pod jego panowaniem. Zwłaszcza Armeńczycy narażeni byli stale na prześladowanie ze strony Turków, masowe rzezie bezbronnej ludności, kobiet i dzieci, były tam na porządku dziennym. Armeńczycy stosowali tę samą metodę wobec Turków, uważając ich za swych największych wrogów. Nienawiść ich skierowaną była głównie przeciw urzędnikom tureckim, na których wywierali swą zemstę. Stąd to Armenia była stale widownią niepokojów, a ruchem rewolucyjnym kierowały zagraniczne komitety armeńskie, rozsiane gęsto po całej Europie. Państwa europejskie, w których interesie leżało osłabienie Turcyi, podsycały i wspomagały tajemnie ruch armeński, prasa ich zaś nie szczędziła słów oburzenia pod adresem rządu tureckiego za jego barbarzyństwo.

Ofiarą fanatycznego Armeńczyka padł też w połowie marca b. r. były turecki wielki wezyr, Talaat basza, przebywający w Berlinie incognito, pod nazwiskiem Ali Sali beja. Uważany on był przez Armeńczyków za jednego z najzażartszych wrogów i inicyatora rzezi i prześladowań.

Morderstwo, spełnione w biały dzień na jednej z najruchliwszych ulic Berlina, opisują dzienniki niemieckie w sposób następujący:

Przy Hardenbergstrasse w zachodniej części miasta, ujrzeli przechodnie, jak jakiś młodzieniec zamknął drogę starszemu mężczyźnie, poczem wyciągnął z kieszeni rewolwer i bez słowa dał w jego stronę kilka strzałów. Trafiony kulami, wydając okrzyk, padł martwy na ziemię. Napastnik odrzucił broń i usiłował uciec, chwycili go jednak przechodnie i oddali w ręce policyi.

Zwłoki zamordowanego przez dwie godziny spoczywały na ulicy, papiery legitymacyjne znalezione przy nim, opiewały na nazwisko Ali Sali beja, później dopiero przekonano się, że jest to wielki wezyr turecki, Talaat basza. Przesłuchanie mordercy napotykało na trudności, nie włada on bowiem językiem niemieckim, jedynie perskim, a tłómacza nie można było na razie znaleźć. Ostatecznie stwierdzono, że mordercą jest 24-letni student armeński, Salomon Pailirian. Zeznał on, że chciał w ten sposób pomścić śmierć swych rodaków, systematycznie gnębionych przez rząd Talaat baszy.

Zgon wybitnego polskiego dyplomaty.

W dniu 2[illegible] marca b. r. zmarł we Lwowie były austryacki minister spraw zagranicznych, Agenor hr. Gołuchowski. W życiu politycznem byłej Austryi odegrał zmarły ważną rolę, upadek monarchii habsburskiej był po części następstwem nie trzymania się wytycznych, w myśl których prowadził austryacką zagraniczną politykę.

Urodzony w r. 1849, był najstarszym synem



Zgon wybitnego polskiego dyplomaty: Były austryacki minister spraw zagranicznych Agenor hr. Gołuchowski.

znakomitego męża stanu, twórcy „Dyplomu październikowego" i kilkakrotnego namiestnika Galicyi z epoki walk o konstytucyę (1848—1859, 1866, 1871) — należał do najwybitniejszych postaci świata politycznego z ostatnich lat pięćdziesięciu. Obrawszy wcześnie karyerę dyplomatyczną, odznaczył się najprzód wybitnemi zdolnościami jako radca legacyjny przy ambasadzie austryackiej (1883—87).

Stamtąd powołany został na stanowisko posła austryackiego w Rumunii (1887 do 1894), które uchodziło zawsze jako najważniejsza placówka dla badania i strzeżenia interesów austryackich na Bałkanie.

W połowie lat dziewięćdziesiątych (1895) objął godność ministra spraw zagranicznych i przez wyjątkowo długi czas (1895 do 1906) zdołał się na tej trudnej i doniosłej pozycyi utrzymać.

W tym stosunkowo tak długim okresie swego ministerstwa wywarł na rozwój spraw austryackich decydujący wpływ — a także wśród ówczesnych zawikłań europejskich (n. p. podczas konferencyi w Algeziras) odegrał rolę pierwszorzędną, jako jeden z najbardziej rozważnych, daleko patrzących, umiarkowanych mężów stanu.

Przewodnią myślą jego polityki zagranicznej było, jak wiadomo, przeszkodzić, a przynajmniej odwlec chwilę zbrojnego starcia między Rosyą a Austryą i raczej na drodze wyrównania interesów między obu mocarstwami dążyć do uregulowania stosunków między niemi.

Po wojnie rosyjsko-japońskiej ustąpił miejsca hr. Aehrenthalowi, który wyzyskał ówczesne zgnębienie Rosyi dla przeprowadzenia aneksyi Bośni i Hercegowiny i przyspieszył tem, acz może bez zamiaru, zbrojne starcie, tak fatalnie dla obu państw zakończone.

Podczas wielkiej wojny ś. p. hr. Gołuchowski występował kilkakrotnie jako obrońca interesu polskiego wobec nieprzyjaznych nam prądów, panujących w ministerstwie spraw zagranicznych i w głównej komendzie wojskowej.

Wyzyskiwał w tym celu w zręczny i skuteczny sposób swój wpływ i zaufanie, jakie posiadał u dynastyi. Cesarz Franciszek Józef żywił bowiem zarówno wobec niego jak niegdyś i wobec jego ojca najprzychylniejsze uczucia, uważając zawsze obu Gołuchowskich jako pośredników między sobą a społeczeństwem polskiem. Po pokoju brzeskim, odegrał hr. Gołuchowski wybitną rolę w austryackiej Izbie panów, gdzie od r. 1875, t. j. od śmierci ojca zasiadał. Pod jego to przewodnictwem polscy członkowie Izby panów zamanifestowali w r. 1918 w sposób jak najbardziej zdecydowany swoje potępienie dla polityki, która zatryumfowała w pokoju brzeskim.

Narodowi polskiemu oddawał też ś. p. Gołuchowski liczne i ważne usługi, które dopiero historya w całej pełni wydobędzie z czasem na jaw, broniąc naszych praw na każdym kroku i nie spuszczając na żadnem stanowisku z oka naszego interesu narodowego.

Do końca życia zachował tę bystrość umysłu i tę wytrawność sądu, jaka go zawsze odznaczała



Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego: Delegaci z zachodniej Małopolski i Cieszyńskiego.

i która wśród dyplomacyi europejskiej zjednała mu nader poważne i wpływowe stanowisko.

Ożeniony z księżniczką Murat miał w całem europejskim świecie dyplomatycznym liczne i serdeczne związki przyjaźni, jakimi może żaden Polak w ostatnich trzydziestu latach przed wojną nie rozporządzał. W czasach gdy oficyalnej reprezentacyi Polska za granicą nie posiadała, oddawał też i wobec zagranicy sprawie naszej ważne usługi—to też tracąc go dzisiaj, traci w nim społeczeństwo nie tylko wiernego i kochającego syna narodu, ale i jednego z najbardziej dla sprawy o czystej w ubiegłej, rozbiorowej epoce zasłużonego pracownika.



Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego Wiceminister Dąbski, zasłużony około doprowadzenia do skutku pokoju w Rydze w towarzystwie posłów ludowych przybyłych na Kongres.

Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Dnia 3 kwietnia b. r. doniosłą chwilę przeżywało Polskie Stronnictwo Ludowe z całej zachodniej Małopolski i ze Śląska Cieszyńskiego. Zebrało się ono w murach podwawelskiego grodu na Kongres, który, jako naczelna władza stronnictwa w naszej dzielnicy, miał zastanowić się nad jego wytyczną linią polityczną w przyszłości, miał wykreślić



Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego: Wybitni działacze stronnictwa ludowego przybyli na Kongres (w pierwszym rzędzie od lewej ku prawej stoją). wiceprezes Kongresu Cielach, wice-marszałek Sejmu Osiecki i poseł Bobek. Za nimi · prof. Roman sekretarz Kongresu i poseł redaktor Rączkowski.

drogę, na którą wstąpić i po której iść winno P. S. L. w nowym okresie pracy pokojowej, jak otworzyło państwu zmiażdżenie nawały bolszewickiej i zawarcie układów pokojowych w Rydze.

Że wszyscy członkowie P. S. L. zrozumieli i odczuli powagę zadań bieżącej chwili i celowość obrad Kongresu, zaświadczył niesłychanie tłumny zjazd delegatów wszystkich wiejskich i powiatowych organizacyi P. S. L. Wielka sala Strzelecka przy ul. Lubicz, w której odbywał się Kongres, była wypełniona istotnie po brzegi, a jakie zainteresowanie towarzyszyło obradom, dowód w tem, że setki uczestników zjazdu, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, przez kilka godzin z rzędu stojąco przysłuchiwały się referatom, brały udział żywy w dyskusyi, nie opuszczając sali ani na chwilę.

Na Kongres przybyli: prezes P. S. L. Wincenty Witos, honorowy prezes P. S. L. wicemarszałek Sejmu Jakób Bojko, wicemarszałek Sejmu poseł Stanisław Osiecki, wiceminister spraw zagranicznych pos. Jan Dąbski, oraz posłowie zachodniej Małopolski i ze Śląska Cieszyńskiego.

Krótkiem przemówieniem otworzył obrady wicemarszałek Sejmu pos. Bojko, który wskazał na duże znaczenie polityczne kongresów P. S. L. wogóle, a specyalną ich doniosłość w chwili tak przełomowej jak obecna. Po otwarciu obrad przystąpiono do wyboru prezydyum. Honorowym prezesem wybrany został wicemarszałek Bojko, prezesem poseł Narcyz Potoczek, zastępcami pp. Roj, Bobek i Cielach z grybowskiego, sekretarzami p. p. dr. Kulpa i prof. Roman.

Wchodzącego na salę premiera Witosa wśród entuzyastycznych okrzyków chwycili chłopi na ramiona i ponieśli przez całą salę aż na trybunę.

Gdy przebrzmiały oklaski, zabrał głos premier Witos, który uwypuklał nowe zadania, czekające na P. S. L. w okresie pracy pokojowej, podkreślał korzyści wynikłe z pokoju ryskiego i z sojuszów zawartych z Francyą, szkicował w ogólnych zarysach przyszłą pracę państwową, konieczność uporządkowania stosunków wewnętrznych, administracyi i finansów państwa, wreszcie nieodzowność i doniosłość reformy rolnej, która ma zapewnić sprawiedliwy ład i dobrobyt w kraju.

Z kolei wiceminister spraw zagran. pos. Dąbski scharakteryzował położenie państwa odnośnie do polityki zewnętrznej, uwydatniając korzyści wynikłe z układów pokojowych w Rydze, wspominając o sojuszach Polski z innemi państwami, które wprowadzają nasze państwo na drogę nowej polityki pod hasłem pokoju.

W dalszym ciągu wicemarsz. Sejmu pos. Osiecki odmalowywał wewnętrzny stan państwa, konieczność sanacyi finansów państwowych, wzmożenia produkcyi rolnej, uprzemysłowienie kraju, uruchomienie kapitałów włościańskich na cele przemysłu i handlu, konieczność wreszcie zaprowadzenia wolnego handlu, wyzwolenia państwa z uciskających je kleszczy etatyzmu.

Następnie po przemówieniu inż. Ludwika Rączkowskiego i przeprowadzeniu wyborów do Zarządu okręgowego P. S. L., wywiązała się ożywiona dyskusya, po której uchwalono szereg rezolucyi, związanych z problemami, poruszanymi przez poszczególnych referentów, a odpowiadających zasadniczemu celowi stronnictwa, to jest umocnienia państwa, jako ludowej Rzeczypospolitej.



Zagrabienie przez Czechów kościoła rzymsko-katol. w Dąbrowie: „Niezależni" w asystencyi czeskiej żandarmeryi zajmują kościół rzymsko-katolicki w Dąbrowie na Śląsku Cieszyńskim.

Zagrabienie przez Czechów kościoła rzymsko-katol. w Dąbrowie.

(Korespondencya ze Śląska Cieszyńskiego)

Nieszczęsne rozstrzygnięcie sprawy Śląska Cieszyńskiego z dnia 28 lpca 1920 naraziło braci naszych na niezliczone szykany i prześladowania. Zamknięto już szereg szkół polskich, w innych zredukowano ilość klas, a zdarzało się, że Czesi pozwalali na pozostawienie szkoły polskiej, nie pozwolili jednakże nauczycielstwu pozostać w gminie. Znane



Częstochowa po plebiscycie: Delegacye i tłumy podczas dziękczynnego nabożeństwa na stokach Jasnej Góry.

jest z gazet codziennych postępowanie braci nadwełtawskich przy ostatnim spisie, który miał być tryumfem perfidyi czeskiej. Czechy, państwo w którem „nem Boha“, w którem lada chwila przejdzie ustawa odłączenia kościoła od państwa, zaopiekowały się w sposób szczególniejszy nowo powstałym narodowym kościołem czeskim. Powstał on w tym celu, aby się sprawdziło nasze przysłowie: „W starym piecu dyabli palą?“ Kilka zgangrenowanych jednostek wśród kleru czeskiego, jak n. p. Zahradnik, Stibor i inni, poczuło w sobie w podeszłym wieku chęć do żeniaczki. Za starymi poszło kilku młodszych i jazda do Rzymu, by uzyskać pozwolenie na ożenek. Odpowiedź wypadła odmownie, stworzono niezależny kościół, nie znający celibatu. Tego kościoła rząd czeski używa jako taranu do rozbicia jedności katolickiej. Wychodzi on z założenia, że lud polski pozbawiony kościoła i polskich nabożeństw, łatwiej się zczechizuje.

Przy pomocy żandarmeryi czeskiej zrabowano już kilka kościołów katolickich i zamieniono na „niezależne“ — z żonatym duchownym i nabożeństwem czeskiem. Zdjęcie fotograficzne przedstawia moment, w którym „niezależni“ zabierają kościół katolicki w Dąbrowie (pow. frysztacki). Wpadli z hałasem wśród nabożeństwa z kapeluszami na głowach, księdza katolickiego znieważyli i zabrali kościół dla siebie. Działali, jak się już wykazało w porozumieniu z czeskim starostą powiatowym z Frysztatu, który w międzyczasie wystąpił z kościoła katolickiego.

W kościele dąbrowskim już obecnie nie było polskich nabożeństw, bo katolicy czescy do nich nie dopuszczali. Obecnie sami nie mają kościoła. „Niezależni“ przyszli w asystencyi żandarmów czeskich, aby na wypadek oporu ze strony katolików bronili rabusiów.



Częstochowa po plebiscycie: Przedstawiciele wojskowości, duchowieństwa i władz cywilnych podczas defilady po nabożeństwie dziękczynnem.



Częstochowa po plebiscycie: Grupa związku kolejarzy wraz z muzyką, przed wymarszem na nabożeństwo dziękczynne.

Za krzywdy nam wyrządzane Polska powinna się odwdzięczyć. Niech nie znajdzie się ani jeden poseł w Sejmie warszawskim, któryby głosował za ratyfikacyą Śląska Cieszyńskiego, rząd powinien domagać się rewizyi, a żaden szanujący się Polak nie powinien kupować towarów czeskich. Niech o tem pamiętają korporacye i kupcy poszczególni.

Gdy się przemysł czeski zadławi zupełnie, (obecnie mocno się już dławi), zdrajca nadwełtawski będzie z nami rozmawiał pokornie.

Aerobus systemu Caproni'ego

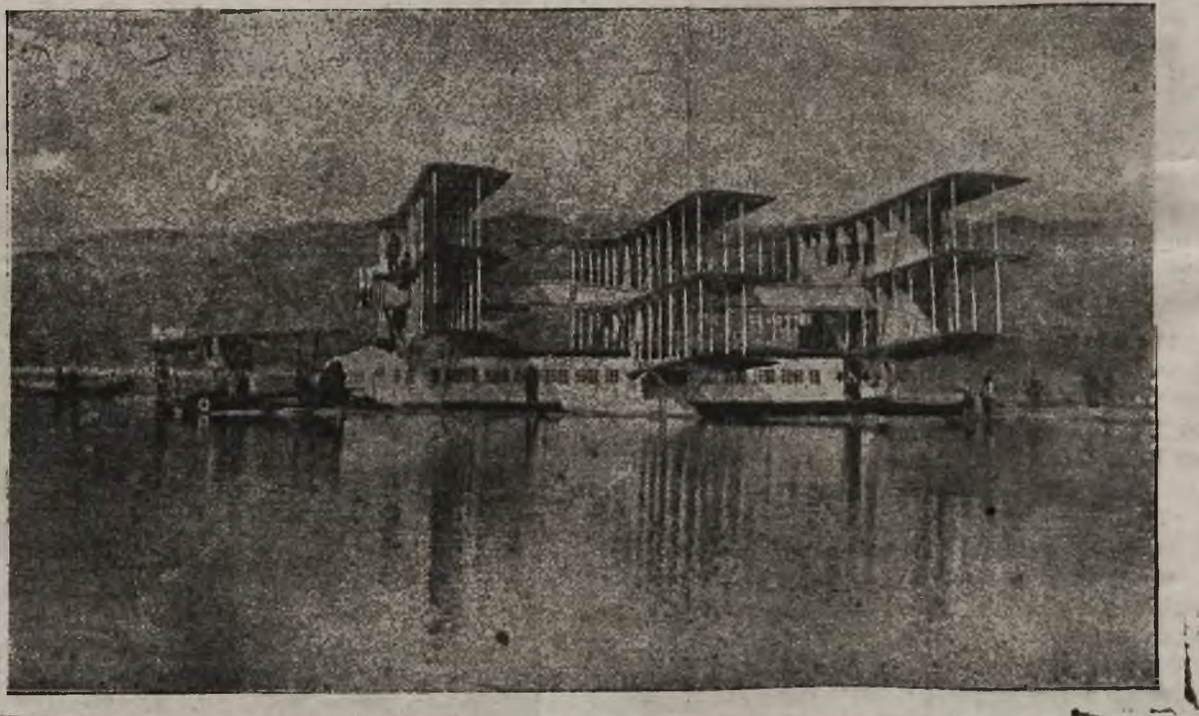
Uwaga i wysiłki uczonych były od dłuższego czasu skierowane w kierunku rozstrzygnięcia problemu, czy uda się statkowi powietrznemu wznieść się w powietrze i opuścić na ziemię w linii pionowej. Liczba inżynierów, którzy odpowiadają twierdząco na to zagadnienie, zwiększa się we Francyi coraz bardziej, tak, iż jest nadzieja, że niebawem ujrzymy już pierwszego ptaka olbrzyma, odrywającego się w prostej linii od ziemi i pionowo unoszącego się w powietrze. W innych państwach natomiast uczeni nie łamią sobie głowy nad tą kwestyą, zajmując się raczej budową latawców, a cały wysiłek inżynieryi skupia się na pomnożeniu siły motorów i powiększeniu kabin dla pasażerów.

We Francyi olbrzymie latawce zaopatrzone w dwa motory jak „Goliat“ albo w cztery jak „Mamut“, podnoszą 12 do 20 pasażerów; Anglicy zadawalniają się biplanem „Handley Pagea“; Niemcy monoplanem „Staaken“, mającym pojemność podobną do latawców francuskich. Ostatni zaś najnowszy aerobus amerykański nie może zabrać na swój pokład więcej niż wagę 25 do 30 osób.

Włochy wyprzedziły na tem polu inne narody, budując aerobus mający postać prawdziwego Lewiatana powietrznego. Jeżeli Fiat zrobił biplan zdolny unieść 12 pasażerów, Caproni, którego triplany były już sławne podczas wojny, jako aparaty do bombardowania, myśli o rzeczach większych. Już w roku ubiegłym fabryka ta wypuściła w świat triplan zdolny unieść trzydziestu pasażerów, nie licząc pilotów i obsługi.

Ale teraz następuję chwila największego tryumfu dla inżyniera włoskiego. Oto nad brzegiem Lago Maggiore, Caproni wypróbowuje obecnie największy hydroplan na świecie. Ten aparat Caproni'ego składa się z trzech komórek trójpłaszczyznowych; a ciężar aparatu wynosi 24 ton. Hydroplan pędzony przez ośm motorów o sile 400 koni każdy leci z szybkością 150 km. na godzinę. — Kabina pasażerów może łatwo i wygodnie pomieścić 100 ludzi. Załoga składa się z pilota-szefa, dwóch pilotów i dwóch mechaników.

Hydroplan Caproni'ego, nie jest jak to bywało dotychczas przy latawcach olbrzymach, jedynie powiększeniem istniejących już modeli. Układ trzech grup komórek, świadczy dobitnie, iż wynalazca zerwał z tradycyą i poszedł drogą całkiem nową. Podczas próby 13. lutego br. hydroplan nie wzniósł się w powietrze, wychodząc jednakże zupełnie z wody, a jeżeli próba ostateczna będzie uwieńczona powodzeniem, inżynier Caproni nie zamyśla spocząć na laurach, zadowalniając się sukcesem swego pomysłu, ale postanawia pracować nad konstrukcyą typu ostatecznego, którby był zdolny unieść trzystu pasażerów. Taki hydroplan zasługiwałby istotnie na nazwę króla powietrza i prawdziwego aerostatku transatlantyckiego.



Aerobus systemu Caproni'ego Największy z dotychczas zbudowanych latawców pasażerskich obliczony na sto osób.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

1. POWIEŚC

— Co to znaczy, że go tak długo niema — szepiała młoda dziewczyna, chodząc gorączkowo po małym pokoiku — czy mu się co złego przytrafiło, czy zabawił się gdzie z przyjaciółmi?

Jeszcze raz przypomniała sobie wszystko po kolei.

Przed tygodniem powróciła do ojca z Drezna, gdzie kilka lat przebywała na pensyi. Wczoraj wieczorem wybrała się z nim na poszukiwanie mieszkania i zakupienia trochę mebli. W tym celu ojciec wziął ze sobą 4000 marek, przysłanych przez krewnych na pierwsze potrzeby. Wstąpili do kilku domów dla obejrzenia mieszkań, lecz gdy coraz bardziej się ściemniało, udali się na planty, zkąd mieli prostą drogę do domu.

Tutaj spotkali dwóch młodych ludzi idących ze sobą pod rękę. Jeden z nich przystąpił do ojca i zaczął z nim rozmowę, drugi usunął się w cień, pobliska latarnia rzucała tylko światło na jego ręce, wiercące nerwowo laską w ziemi.

Tego pierwszego widziała dobrze i poznałaby go natychmiast. Niski, przysadkowaty, o twarzy obrzękłej, nacechowanej cynizmem, ubiór jego, pomimo pozornej elegancyi wyglądał jak gdyby nie na niego robiony. Pąsowy krawat i duże spinki naśladujące brylanty zdaleka rzucały się w oczy. Zagaikowy ten jegomość nie zważał zupełnie na jej obecność, tylko ojcem zajęty, robił mu wyrzuty, że od tak długiego czasu nie dał żadnego rewanżu, nie rozumiała do czego się to miało odnosić. Po chwili ojciec wziął ją na bok i tłómacząc się względami towarzyskimi, prosił, aby sama wróciła do domu, a on na[illegible]lej za godzinę podąży za nią.

Z po[illegible]tku nie chciała się zgodzić, odwoływała się na to, że nie zna miasta, że późnym wieczorem boi się sama wracać. Nic nie pomagało! Najbardziej bolało ją to, że ojciec zniżał się do takich ludzi i że w ich towarzystwie mógł przebywać, ale niestety nigdy on nie mógł się oprzeć namowom wesołych towarzyszy.

Na owych przyjemnych kompanów, na kolacye i karty poszedł też cały majątek. To sprowadziło ruinę i w ostatecznej konsekwencyi wyrzucenie zbankrutowanego szlachcica z rodzinnej wioski na bruk wielkiego miasta.

Ona była wówczas dzieckiem i nie zdawała sobie sprawy z grozy niedalekiej przyszłości. A zresztą, ten ojciec był dla niej zawsze tak dobry! Pieścił ją, dogadzał, zasypywał słodyczami i zabawkami, stroił w coraz nowe i coraz piękniejsze sukienki. Brał ją wszędzie ze sobą, do Ostendy, Monaco, Wiednia, Warszawy. Zwiedziła kawał świata, chociaż mało tego pamięta.

Musiało jednak być coraz gorzej z biednym ojcem, kiedy pozwolił na rozłączenie się z nią. Bogaci krewni oddali ją na pensyę w tym celu, aby potem sama na siebie pracowała.

O jak gorącemi łzami oblała to rozstanie, jaka tęsknota trawiła ją przez ten cały czas!

Wreszcie wróciła z gorącą chęcią pomagania ojcu, pracowania na niego, byle tylko z nim się nie rozłączyć. I oto, co ją spotykał! Powiedział, że przyjdzie za godzinę, tymczasem upłynęło dwadzieścia cztery, a jego jak niema, tak niema.

Chodziła dalej niespokojnie, rozbijając się jak ptak o ciasne ściany pokoiku. Przystanęła. — Możeby dać znać na policyę — szepnęła załamując ręce.

Była bezradna jak dziecko i mimo dwudziestu lat, nie wiele różniła się od dziecka pod względem nieświad mości życia. Nagle usłyszała jakieś kroki w sieniach, może to on, stanęła nadsłuchując. We drzwiach zjawiło się dwóch mężczyzn:

— Czy tutaj mieszka pan Poraj?

— Tutaj — odparło dziewczę blednąc — czego sobie panowie życzycie?

— Pani jesteś jego krewną?

— Córką.

— Córka — hm, hm, córka.

— Mów pan — zawołała Celina z nienaturalnym spokojem — mój ojciec nie żyje.

Wisła wyrzuciła ciało na brzeg, zapewne wpadł przez nieostrożność. — Wnoszą go — czy pani niema nikogo przy sobie?

Nie odpowiedziała, pogrążona w osłupieniu.

— Jakżeż tu tę biedaczkę zostawić samą — mówił dobroduszny urzędnik. — Niema pani nikogo znajomego? — powtórzył.

Lecz Celina nie słyszała! Suchem okiem patrzała na ukochane zwłoki, pragnąc tylko jednego: Samotności! A gdy się wszyscy rozeszli uklękła przy łóżku i wziąwszy skostniałą rękę w swoje dłonie, rzekła stłumionym głosem:

— Padłeś ofiarą, a ja znam morderców, nie spocznę dopokąd ich nie znajdę, tak mi Panie Boże dopomóż.

Ubiegło pół roku zanim Celina znalazła miejsce nauczycielki, alias bony do czworga drobnych dzieci. Marzyła o lepszem miejscu! Wychowana na pensyi w Dreźnie, posiadając język francuski i niemiecki powinna była znaleść coś odpowiedniejszego. Ale cóż! do języków obcych używano cudzoziemek, a do innych przedmiotów żądano patentu nauczycielskiego. Środki utrzymania wyczerpały się, do krewnych pisać nie pozwalała jej duma, zapowiedzieli bowiem solennie, że więcej do niej mięszać się nie będą i prócz wykształcenia nic jej nie dadzą, przyjęła więc to co jej się nadarzyło.

Pani Czarska, matka tych dzieci, była to kobieta czterdziestoletnia, jeszcze przystojna, biała, różowa, z oczami niebieskiemi, wypłowiałemi już trochę, ze stanowczym i energicznym wyrazem twarzy.

Mąż jej bogaty kupiec, przebywał cały dzień w sklepie, za to w domu żona była absolutną panią. Pochodziła z rodziny biurokratów i niezmiernie bolała nad tem, że jak jej się zdawało, o jeden stopień niżej zeszła w hierarchii społecznej. A chociaż z biedy urzędniczej weszła w dom zamożny, chociaż brat jej starszy z potrzeby zostawszy kupcem, uczciwością i wytrwałą pracą dorobił się majątku, ona chełpiła się najmłodszym i w nim pokładała nadzieję podniesienia rodziny z upadku. Lecz najmłogszy dzięki fortunie brata ukończył uniwersytet i już blisko od kilku lat prowadził kancelaryę adwokacką.

W każdej rodzinie jest jakiś brat albo syn, po którym wielkich rzeczy się spodziewają, pysznią się nim i chwalą, uważają go za brylant rodzinny. Takim brylantem dla swej rodziny był p. Michał Wirski. Trzydziestokilkoletni, wysoki, dobrze zbudowany blondyn, o twarzy rozumnej i pięknych szafirowych oczach, był człowiekiem dobrym, ale zepsutym przez szczęście, wszystko bowiem szło mu jak z płatka.

W szkołach był lubiany, egzamina zdawał świetnie i z łatwością, a otworzywszy kancelaryę, posiadł niemal od razu szeroką i zyskowną klientelę.

Zadowolony ze siebie, przystojny i bogaty, był pożądaną partyą dla panien, a liczne miłosne awanturki, których był bohaterem, otaczały go jeszcze większym urokiem w oczach kobiet.

Cała rodzina kochała się prawdziwie po filistersku nie widząc nikogo po za sobą i swojemi interesami. Dzieci takiej rodziny były naturalnie małemi doskonałościami, których uczenie należało do przyjemności i nie nazywało się pracą.

Celina zajętą była od rana do nocy. Umywszy i ubrawszy całą gromadkę, co się nie obyło bez płaczu i skarg przed mamą, zasiadała do lekcyi, podczas której w twarde główki małych mieszczuchów wlewała trudną sztukę czytania i pisania.

Po obiedzie szła z niemi na spacer, a wieczór naprawiała malcom bieliznę, albo szyła sukienki. Trudno, p. Czarska musiała mieć jakąś korzyść z takiej nauczycielki! Dla honoru domu powinna była wziąć Francuzkę lub przynajmniej Niemkę, przyjmując Polkę, już tem samem złożyła ofiarę na ołtarzu Ojczyzny, ale wszystkiego wyrzekać się niepodobna! Płacąc znaczną pensyę, bo aż dweście marek miesiecznie, dając doskonałe życie, do którego to wygłodzone biedactwo z pewnością nie było przyzwyczajone, mogła wymagać, aby wieczorem wyręczała ją choć cokolwiek i zajęła się przynajmniej bielizną dzieci.

Celinie dwie rzeczy mocno dokuczały w tym domu, brak czasu na oddanie się wielkiej sprawie swego życia i natarczywe grzeczności p. Michała.

Nie opuszczał on żadnej sposobności zbliżenia się do młodej nauczycielki, zwłaszcza, że była w otoczeniu siostrzeńców, p. Czarska zaś nic w tem złego nie widziała, uważając w duszy Celinę za rodzaj lepszej służącej.

To też p. Michał zjawiał się o różnych porach w pokoju dziecinnym, prawiąc Celinie desadne komplimenta z towarzyszeniem znaczących spojrzeń. Posunąłby się i dalej, ale coś nieokreślonego w obejściu Celiny onieśmielało go mimowoli. A był to kąsek nielada! Wysoka, smukła, z włosami sięgającemi do kolan, z cerą świeżą jak róża, z czarnemi oczyma.

— Czy pani nie przykrzy się przebywanie z temi dziećmi — mówił niekiedy, siadając obok nauczycielki na wygniecionej sofie w pokoju dziecinnym. — Czy pani nigdy nie pomyśli o balach, wieczorkach, teatrze.

— Na cóż zda się myślenie, kiedy to dla mnie niedostępne — odpowiadała dziewczyna, usuwając się od niego.

— Dlaczego niedostępne dla pani tak młodej i pięknej — prawił dalej niezrażony, magnetyzując ją oczami.

Lecz Celina była obojętną na wzrok najpiękniejszych nawet oczu, jak człowiek owładnięty jedną tylko myślą. Wołała które z dzieci i zaczynała lekcyę poglądową, albo jakąś hałaśliwą zabawę, od której uciekał czuły wujaszek.

Innym razem zjawiał się w ogrodzie p. Czarskiej, gdzie się dzieci bawiły pod dozorem nauczycielki.

— Pani zawsze sama — zaczynał idąc obok nauczycielki.

— Sama? jak długo jestem u p. Czarskiej jeszcze ani chwili samą nie byłam — odpowiadała Celina, śmiejąc się.

— Czyż to towarzystwo dla pani — mówił, pogardliwym ruchem wskazując na skaczące dzieci.

— Więc pan mnie uważa za tak starą, że towarzystwo dzieci jest już niewłaściwem dla mnie? — pytała Celina z filuternym uśmiechem.

— Starość i pani, co za przypuszczenie! chyba pani nigdy do lustra nie patrzy? Ależ właśnie dlatego, żeś pani tak młoda i piękna, powinnaś być w innem otoczeniu.

— Zdaje mi się, ze pan odgrywa rolę kusiciela, ale ja się skusić nie dam, praca i samodzielność, to marzenie mego życia.

— Samodzielność? Tę zostaw starym i brzydkim, dla pani otworzy się mnóstwo serc i rąk do podpory.

Droga moja nie jest drogą zwyczajną — odparła Celina smutnie, a przed oczyma jej stanął ubogi pokoik, trup ojca i przysięga jaką mu składała. Ból wielki ścisnął jej serce, nie mogła dalej słuchać banalnej rozmowy, zawołała dzieci i mimo protestów p. Michała, udała się z niemi do domu.

Nowa fala żalu przychodziła na nią, szła na grób ojca i tam, gdzie jak jej się zdawało bliżej była niego, płakała i skarżyła mu się jak dziecko.

— Takam samotna, takam bezradna, ojcze mój wskaż mi gdzie mam iść, aby wyświetlić tę zbrodnię, aby cię pomścić.

Innym razem w chwilach wolnych udawała się na brzeg Wisły, gdzie jak jej powiadano, ciało zostało znalezione i tam patrząc na żółte toczące się wody, myślała. co czuł kiedy go fale pokrywały, czy żałował córki swojej, czy przewidywał rozpacz i boleść jaką jej taką śmiercią sprawił.

Te żale i rozpamiętywania, to skoncentrowanie uczucia w jedno pragnienie zemsty, pozostawiało ją obojętną na hołdy, zabawy, na to wszystko, co zachwyca młode dziewczęta i wyciskało na jej postaci piętno oryginalności, które wyróżniało ją z tłumu.

A codzienne życie toczyło się swoją koleją, były dnie smutne i znowu jaśniejsze. Pani Czarska zaczęła w cichości uznawać talenta i pracowitość młodej dziewczyny, nie przyznawała jednak tego głośno, bojąc się zepsuć, powolne narzędzie swych rozlicznych wymagań.

To otoczenie jednak dusiło Celinę. Hałasy dzieci, skąpstwo matki i jej sceny ze służbą, grzeczności p. Michała działały na nią przygnębiąco. Lecz cóż miała robić, gdzie się miała udać?

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

35 I.

Najwidoczniej hrabina Loredana zadrwiła sobie ze mnie i to w obecności Ranierego. On zapewne odchodząc sądził, że pozostanę szczęśliwym kochankiem hrabiny, przynajmniej na tę chwilę — a tymczasem ta dziwaczna kobieta wyrzucała mnie poprostu za drzwi — oczywiście bardzo grzecznie, ale jednak niezaprzeczenie.

Powtarzam, że upłynęło zaledwie dwanaście minut od odejścia Lambertini'ego i zamierzałem spotkać się z nim w Klubie myśliwskim, aby mu opowiedzieć tę szczególną historyę. Pozatem, chciałem się z nim pożegnać, bo postanowiłem nazajutrz rano wyjechać do Milanu.

Udałem się wychodząc z salonu hrabiny do przedpokoju, gdzie ten sam milczący służący, podał mi płaszcz i kapelusz. Rzecz szczególna, zaledwie opuściłem próg willi, kiedy wszystkie światła w niej nadle pogasły i drzwi zatrzasnęły się z hałasem. Była już godzina pierwsza i noc była ciemna. Tylko na końcu alei obok willi paliła się latarnia. Zatrzymałem się na chwilę na peronie, aby zapalić cygaro, poczem poszedłem aleją, kiedy nagle potknąłem się o coś, czarnego i upadłem całym ciężarem na to coś, które w ciemności rozeznać nie mogłem. Po chwili zoryentowałem się. Było to ciało człowieka, leżące w poprzek drogi. Czy był to człowiek pijany, czy osoba zemdlona — czy też trup? Miałem na tyle przytomności umysłu, aby powstać i zapalić zapałkę. Straszny widok przedstawił się moim oczom. Ranieri Lambertini leżał u stóp moich, nieruchomy, blady, z przymkniętemi oczami; z pod g'owy jego wypływała struga krwi, powiększająca się z każdą chwilą. Zdawało się, że nie żyje już.

Miał na sobie płaszcz, na rękach rękawiczki, tylko kapelusz jego zmięty leżał na ziemi o kilka kroków. Pozatem, żadnego śladu walki. Stałem zdumiony, przerażony. O tej godzinie, w tej alei ciemnej i pustej pozostać sam na sam z umierającym lub może też umarłym nie było rzeczą uspokajającą. Uniosłem go cokolwiek. Zaciężył mi na rękach, sztywny, bezwładny i gdyby nie lekkie bardzo drgnienie pulsu, byłbym go wziął za trupa. Co robić? Co robić? Nie śmiałem opuścić z powrotem jego głowy w kałużę krwi, krzepnącą już, a nie mogłem uczynić żadnego ruchu. Chciałem zadzwonić do willi, zawołać o pomoc, sprowadzić ludzi, pow6z, ale nie uczyniłem nic z tego. Pozostałem tak, zrozpaczony, nieprzytomny prawie z wrażenia, pochylony nad ciałem konającego mojego przyjaciela.

Jednakże, po paru minutach, dziwnym zbiegiem okoliczności dwóch stróżów nocnych ukazało się w alei w towarzystwie dwóch żandarmów. — Ten przypadek, który w pierwszej chwili wydał mi się zesłanym przez Opatrzność, okazał się w następstwach faktem wykombinowanym z ohydną przewrotnością. Na razie jednak wybawił mnie z kłopotu. Obydwaj żandarmi przyjęli moje zeznania z widoczną podejrzliwością i niewiarą. Stróże nocni zaś pobiegli po lekarza mieszkającego niedaleko i przyprowadzili ze sobą komisarza policyi. Stało się to wszystko tak szybko i sprawnie, mój przyjacielu, że wyglądało to raczej na przygotowaną zasadzkę, niż na wypadkową pomoc.

Komisarz ów, okazał się dla mnie również surowym. Zapisał sobie moje nazwisko, stanowisko, jak również nazwisko mojego biednego przyjaciela. Przybyły lekarz po krótkich oględzinach, oświadczył kategorycznie, że ranny z powodu wielkiej utraty krwi nie może być przewieziony do szpitala.

Oh! Boże! Jakież straszne wrażenie czynili ci ludzie pochyleni nad konającym, w pustej, ciemnej alei!

Komisarz bez wahania zapukał kilkakrotnie do drzwi willi. Długo nie otwierano. — Nareszcie furtka zaskrzypiała i służący, zawsze ten sam, ale teraz widocznie zaspany i w złym humorze ukazał się na ścieżce ogrodowej. Komisarz bezzwłocznie wysłał go z zapytaniem do hrabiny, czy zgodzi się na przyjęcie u siebie rannego, dodając, że tenże umrzeć może, jeżeli dalej przewieziony zostanie. Tymczasem lekarz wyjął z rany Lambertini'ego sztylet. Komisarz pochwycił go skwapliwie i schował zanim go obrzucić mogłem spojrzeniem.

Pierwsze opatrzenie rany odbyło się w blasku latarni, a ja drżący i wzruszony śledziłem przez cały czas na twarzy Ranieri'ego jakieś oznaki powracającego życia. Niewiem dlaczego, ale czułem się ogromnie zmieszany i wzrastający z każdą sekundą niepokój, wstrząsał mną nerwowo.

Nareszcie ukazała się hrabina. Ubrana była w długą, białą suknię. Była bardzo blada, a w oczach jej przebijał się silny błysk grozy. Szła powoli, leniwie, jakgdyby pogrążona w śnie lunatycznym. Za nią szedł służący niosący kondelabr dwuramienny. Kiedy znalazła się przy rannym, wydała ostry okrzyk przestrachu i załkała głośno. Wszystkie jej ruchy były bacznie obserwowane przezemnie i komisarza. Na mnie nie spojrzała jeszcze dotąd, lecz kiedy w końcu spojrzenia nasze się skrzyżowały cofnęła się z odruchem lęku i zakryła twarz rękami.

Zachowanie jej zdumiało mnie, ale nie rozumiałem je jeszcze. Kiedy lekarz przyciszonym głosem szepnął hrabinie, że rannego przewieźć nie można do szpitala, z powodu niebezpieczeństwa jakiegoby mu grozić mogło, hrabina bez słowa wskazała ręką swoją willę. Milczenie ponure tej kobiety, którą widziałem jeszcze przed chwilą wesołą i dowcipną, jeszcze więcej niepokojąco podziałało na mnie. Poza bólem, który mnie przejmował na widok śmiertelnie rannego mojego przyjaciela, dręczyło mnie jakieś złowrogie przeczucie i niepokój.

Ażeby przenieść Ranierego do willi, trzeba było przygotować rodzaj noszów z desek, na które nałożono materace. Przeniesienie odbyło się bardzo ostrożnie i powoli, bo ruch najmniejszy pogłębiał krwotok rany. Złożono Ranierego w pokoju parterowym, bardzo elegancko umeblowanym. Lekarz pozostał jeszcze przez chwilę przy chorym. Ranieri po paru minutach otworzył oczy i spoglądał wokoło, lecz widocznem było, że nie poznaje miejsca, ani osób go otaczających. — Poczem przymknął je i pozostał nadal w stanie bezwładnego odrętwienia. Słychać było tylko ciężkie rzężenia jego płuc z trudem chwytających powietrze.

Hrabina Loredana stanęła niedaleko łóżka a twarz jej widmowo blada tak była niepodobna do tej uroczej twarzy, którą widziałem niedawno.

Dwa czy trzy razy zwróciłem się do niej z jakiemś zapytaniem i za każdym razem obrzuciła mnie niechętnem, zimnem spojrzeniem.

— Czy pani uprzedziła rodzinę? — zapytałem.

— Tak — odpowiedziała krótko.

Nie dałem jeszcze za wygranę i pytałem dalej.

— Czy pani nie sądzi, że tu zaszła pomyłka? Hrabia Ranieri Lambertini, człowiek tak sympatyczny i prawy, niemógł mieć nieprzyjaciół!

— Nie sądzę — odparła stanowczo.

— A cóż pani wogóle myśli o tym okropnym wypadku? — nalegałem, przejęty jakiemś niewytłómaczonem drżeniem.

Spojrzała na mnie przelotnie i ironiczny uśmiech pojawił się na jej ustach. Upłynęło kilka minut. Lekarz oznajmił, że ranny potrzebuje opieki siostry miłosierdzia. Lecz gdzież ją znaleźć o tak spóźnionej porze? Żaden klasztor nie zechce otworzyć furty wśród nocy. Hrabina Klara, po krótkim namyśle oświadczyła, że sama czuwać będzie przez tę noc pierwszą w towarzystwie swojej panny służącej.

— Pozostanę również, jeżeli pani na to zezwoli — pospieszyłem natychmiast z zapewnieniem.

Ale propozycya moja przyjęta została w szczególny sposób. Hrabina rozwarła jeszcze szerzej źrenice, pobladła jeszcze silniej i wyszeptała z trudem:

— Nie.

W tej samej chwili usłyszałem przy sobie przyciszony głos komisarza.

— Pan pozwoli na stronę. Mam z panem do pomówienia. Parę słów tylko.

Dlaczego zdawało mi się, że w tych słowach dźwięczała jakaś surowość i brak uszanowania?

Dlaczego wyobraziłem sobie, że ten policyant chce mnie urazić i upokorzyć? Nie wiem. Ale faktem jest, że uczułem się mocno dotknięty. Odpowiedziałem też szorstko, głosem zdenerwowanym:

— Czy naprawdę usłyszę tylko parę słów?

— Może trochę więcej — mruknął komisarz.

— Jestem zmęczony. Chciałbym pójść się położyć — odparłem, proszę pana zatem o pośpiech.

— Postaram się o to — odrzekł wymijająco.

Przeszliśmy do salonu, gdzie godzinę przedtem zabawiałem się wesoło z Klarą Loredana i gdzie widziałem mojego przyjaciela, pełnego życia i zdrowia, śmiejącego się tak serdecznie. Komisarz usiadł w głębokim fotelu i oparł się wygodnie, ja zaś umieściłem się naprzeciw niego. Spostrzegłem trochę później, że usiadłem w ten sposób, iż twarz moja była w pełnem oświetleniu, podczas kiedy cała postać komisarza tonęła w cieniu.

— Czy będzie pan tak uprzejmym i odpowie mi na kilka zapytań — zapytał bawiąc się obojętnie nożem do przecinania kartek, podczas kiedy ja zapaliłem papierosa.

— Zapewnie. I te pytania stosować się będą do tej strasznej sprawy? nieprawdaż?

— Tak. Pan był przyjacielem hrabiego Ranieri Lambertini'ego?

— Tak.

— Od dawna?

— Znałem go od dawna, ale stałem się jego przyjacielem w niedawnych czasach.

— Od jakiego czasu mniejwięcej?

— Od miesiąca.

— I przylgnęliście do siebie od razu?

— Tak — od razu. To człowiek bez zarzutu, człowiek o honorze nieskazitelnym.

— Pan zkąd pochodzi?

— Z Milanu.

— Bez rodziny?

— Jestem sam zupełnie.

— Bogaty?

— Mam dosyć na wygodne życie.

— Pan dużo podróżuje?

— Prawie ciągle. Nie lubię pozostawać długo w jednem miejscu.

— Jednakże przebywa już pan miesiąc w Rzymie?

— Pewne powody mnie tu zatrzymują — odpowiedziałem nieostrożnie.

— Ah! — szepnął tylko komisarz, spojrzawszy na mnie podejrzliwie.

Kochany mój przyjacielu, opisuję Ci dokładnie ten dyalog, prawie dosłowniey, bo utkwił mi głęboko w pamięci, bo stanowił on chwilę najtragiczniejszą, jaką przeżyłem w mojem życiu. Zapewnie, rozmowa ta bardzo była dla mnie niemiłą — w tem otoczeniu obcem, z sąsiedztwem konającego człowieka w drugim pokoju, a przytem twarz komisarza nie podobała mi się wcale. Jestem dobrym fizyonomistą, a z tego co wyczytałem z rysów jego — nie mogłem sobie wróżyć nic dobrego.

— Powróćmy do przesłuchania — podjął po chwili komisarz.

— Przesłuchania? zawołałem, podskakując na krześle. Czy to ma być przesłuchanie? Przesłuchanie formalne?

— A dlaczego by nie?

— Z jakiego tytułu?

— Przesłuchuję pana, bo pan byłeś świadkiem zbrodni — odparł patrząc mi prosto w oczy.

— Świadkiem — prawie świadkiem, chcesz pan powiedzieć — zawołałem żywo.

— Znaleźliśmy pana, rozciągniętego na rannym — oświadczył zimno komisarz.

— Tak. Upadłem na niego, potknąwszy się o jego ciało leżące w poprzek mojej drogi. Wyszedłem z willi w pół godziny po jego wyjściu.

— W pół godziny?

— W dwadzieścia pięć minut.

— Proszę być dokładnym! — rzucił szorstko komisarz.

— Jakże mogę być dokładnym — odrzekłem poirytowany tem badaniem, a szczególniej tonem jego głosu. Nie wiedziałem o popełnionej zbrodni — a przecież z zegarkiem w ręku nie zwykłem chodzić.

— A jednak jest rzeczą konieczną, aby się pan dokładnie i jasno wytłómaczył — rzekł dobitnie komisarz z tą samą intonacyą głosu.

— Konieczną?

— Tak.

— Uznaję tylko jedną rzecz za konieczną mój panie — syknąłem powstając — to jest odejść natychmiast.

— Nie panie. Pan musi zostać.

— Ja muszę — — muszę!?

— Tak, panie hrabio.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

36

— Nie, to nie to, ale czuję się ogromnie szczęśliwy w obozie z tobą. Lubię myśleć o pustkowiu, które nas otacza i że niema tutaj żywej duszy z wyjątkiem kilku cyganów tam w dole i nawpół nagich rybaków. Przynieśliśmy z sobą naszą własną oazę do pustyni Libijskiej i mam zamiar być tej nocy rozsądnym człowiekiem, i nie opuszczać tej oazy.

Uśmiechnęła się do niego.

— A zatem zostań — rzekła.

— Uśmiech jej przeszedł w poziewanie.

— Pójdę zaraz do łóżka — dodała.

Stłumiła powtórne ziewnięcie.

— Chcesz wcześniej się położyć? — zapytał.

— Zaraz. Cóż ci się zdaje? jestem zmęczona jak pies długą jazdą na wielbłądzie i będę spała jak susel.

Położyła rękę na jego ramieniu. Twarz jej miała wyraz śpiący.

Zaśmiał się.

— Zdaje mi się, że jestem z żelaza w tej cudnej krainie. Nie chce mi się spać ani trochę.

Znowu starała się stłumić ziewanie.

— A zatem — zasłoniła usta ręką — zostanę z tobą, aby ci dotrzymać towarzystwa.

— Co to, to nie. Powinnaś pójść zaraz do łóżka, a kiedy się wygodnie położysz, może pójdę na szakale. Jeżeli mam spać, wolę...

Przyciągnął ją do siebie i ucałował.

— Położę cię naprzód, a kiedy będzie ci ciepło i wygodnie, wyjdę.

Oddała mu pocałunek.

— Nie; wolę, żebyś pierwej wyszedł.

— Dlaczego?

— Bo lubię patrzeć na ciebie, jak się wybierasz na rozrywkę. To moja przyjemność, wprawdzie nie zawsze, gdyż jestem samolubna. Na Nilu będziesz siedział przy mnie, będziesz spełniał wszystkie moje życzenia. Lecz przez tych parę dni będę, jak wschodnia kobieta względem swego pana i władcy. Tak więc muszę być przy twojem wyruszeniu, a potem - oh, jak będę spała.

Wstał.

— Może nie powrócę, aż zrana. Ciekawym, czy Hanza wystarał się o kozę.

Poszedł po strzelbę. W kilka minut później wychodził z obozu wołając wesoło:

— Śpij smacznie Ruby! Wyglądasz jak czarodziejka stojąc tak, oświecona ogniem. Dobra noc — dobra noc!

Kroki jego ucichły w piasku, głos jego umilkł w ciemności.

Czekała, stojąc spokojnie przy ogniu długą chwilę. Dusza jej zdawała się biedz przez piaski tam, gdzie się one łączyły z niebem, lecz wola zatrzymywała ciało przy ogniu, dopóki myśliwi dostatecznie się nie oddalili.

— Ibrahim!

— My lady?

— W jaki sposób wyruszymy? — Mówiła do niego szeptem wciąż stojąc przy ognisku. — Czy poganiacze wielbłądów o tem wiedzą? czy powinni wiedzieć? pojedziemy, czy pójdziemy?

— Proszę wszystko zdać na Ibrahima. Proszę wrócić do swego namiotu, zaraz tam przyjdę.

Weszła do namiotu siadła na krześle. Oparła się ramieniem o żelazny stolik przy niem stojący i głowę złożyła na ręku. Policzki jej pałały. Zerwała się, otworzyła swój nesesser, wyjęła z niego *boëte de beauté*, którą jej dał Barondi w pomarańczowym ogrodzie i stanąwszy przed lustrem z pośpiechem zaczęła się malować. Poczem nałożyła krótki płaszcz futrzany, gdyż zimny wiatr wieje na piaskach. Zastanawiała się, jak daleko pójdą.

A jeżeli Nigel niespodzianie wróci, jak zazwyczaj czynią w takich razach mężowie? Nie była wstanie zajmować się tą myślą. Czuła się zanadto bliską rozpaczy, by o to dbać, czuła się w rękach przeznaczenia. Jeżeli los okaże się niezręcznym, tem gorzej dla niej — i dla Nigla. Spiesznie zapięła płaszcz, włożyła kapelusz i naciągnęła rękawiczki.

— Teraz ruszamy.

— Ibrahim wsunął zakapturzoną głowę do namiotu.

— Piechotą? — zapytała.

— Wyruszamy piechotą.

Kiedy wyszła, zobaczyła, że ognisko zostało zgaszone.

— Tam zdołu nic nie widzą — rzekł Ibrahim wskazując na ciemność.

— A nasi ludzie? zapytała.

— Wszyscy śpią z wyjątkiem Hanzy. On czuwa.

Namiot służby stał w pewnem oddaleniu. Spojrzała i nie dostrzegła żadnego ruchu, żadnej postaci oprócz dziwacznych sylwetek wielbłądów.

— Idę do my lord Arminigel.

Wyszli w pustynię. Opuszczając obóz, Mrs. Armine zobaczyła Hanzę przed namiotem na straży z dubeltówką na ramieniu.

Noc była ciemna, bez gwiazd powiew wiatru, jakkolwiek lekki, był przejmujący i zimny. Stopy Mrs. Armine zanurzały się w głębokim sypkim piasku. Szli w milczeniu, aż w pobliżu dało się słyszeć gniewne chrapanie wielbłąda. Mrs. Armine się zatrzymała.

— Czy słyszysz? — rzekła do Ibrahima — ktoś jest blisko nas.

My lady, proszę iść. To bardzo dobry dromader dla nas.

— Ah! — zawołała.

— Beduin każe mu tak czynić, żebyśmy wiedzieli gdzie jest — rzekł Ibrahim.

Wykrzyknął kilka słów po arabsku. Gwałtowny, gardlany głos odpowiedział z ciemności. Za chwilę spotkali się z dwoma zakapturzonemi postaciami, trzymającemi dwa leżące wielbłądy. Na jednym z nich był rodzaj palankinu, do którego wsiadła Mrs. Armine z beduinem siedzącym na przedzie. Zwierzę nie chciało iść napełniając noc nieledwie lwim pomrukiem; wreszcie wstało, umilkło i zaczęło klusować.

Mrs. Armine nie mogła oznaczyć czasu, ani przestrzeni w tej podróży. Była podnieconą i pełną awanturniczego usposobienia, którego dawniej nie znała, a które dawało jej wrażenie młodości. Ciemna pustynia zamiatana wiatrem stała się nagle dla niej miejscem wielkich nadziei i pragnień bliskich urzeczywistnienia. Oczekiwanie gnało ją więcej, niż wielki ogień rozłożony na powitanie Nigla. I kiedy wreszcie w oddali błysnęło światło, pustynia zdawała się jej promieniować radością.

Lecz światło było widocznie daleko, gdyż pomimo szybkości jazdy nie stawało się jaśniejszem, ani większem, lecz podobne do dalekiego oka, patrzało na nią jakby chcąc czytać w jej duszy.

I pomyślała o oczach Barondiego, a patrząc znowu na żółte światło, miała wrażenie, że to on się jej przypatruje z jakiejś twierdzy wśród piasków, do której nie może się zbliżyć!

Na pustyni trudno zmierzyć odległość. W chwili właśnie, kiedy Mrs. Armine myślała, że nigdy nie dosięgnie tego światła, ono się powiększyło rozpadło na miotane wiatrem płomienie stało się nagle ogniskiem, przy świetle którego ukazały się sylwetki wielbłądów, ludzi, namiotów, psów i spętanych koni. Znalazła się w środku obozu, rozłożonego w samotnem miejscu wśród piasków, bez śladu oazy.

Wielbłąd ukląkł. Stanęła na nogi z Ibrahimem u boku.

Przez chwilę czuła się olśnioną. Stała spokojnie przyciskając nogą piasek, oświecony płomieniem. Zobaczyła oczy — cudne oczy beduinów — spoglądające na nią z pod nasuniętych kapturów. Słyszała trzaskanie ognia, cichy chrzęst pochodzący ze szczęk karmionych wielbłądów.

— My lady proszę iść za mną!

Machinalnie poszła za Ibrahimem poprzez przestrzeń piasku do wielkiego namiotu, stojącego osobno. Podchodząc do niego serce jej biło gwałtownie, nieregularnie, czuła się prawie młodą dziewczyną. Oddawna nie czuła się tak młodą, jak w tej chwili. W tej ciemnej pustyni, pomiędzy tymi mieszkańcami Afryki cała jej światowa znajomość, umiejętność w postępowaniu z mężczyznami cywilizowanych krajów, wydały się jej bezużyteczne.

Płócienna firanka zasłaniała wejście do namiotu. Ibrahim podszedł i zawołał. Przez chwilę nie było odpowiedzi. Przez ten czas Mrs. Armine zauważyła inny, mniejszy namiot, stojący obok. I zdało się jej, kiedy wiatr trochę ucichł, że słyszy wychodzące z niego słabe dźwięki jakiegoś instrumentu muzycznego. Wtem płótno wielkiego namiotu się podniosło i na tle światła ujrzała zarys silnego mężczyzny. Spojrzał w noc, cofnął się, ona weszła i stanęła przed Barondim. Wtedy płócienna zasłona opadła, zakrywając noc i pustynię.

Barondi był w stroju arabskim. Na głowie miał biały turban, przetykany złotem. Jego kaftan z kwiecistego jedwabiu z długimi rękawami był okręcony w pasie zwojem muślinu. Wierzchnia jego szata była ze szkarłatnego sukna. Na nogach miał pantofle z marokańskiej czerwonej skóry. W lewym ręku trzymał fajkę na bardzo długim cybuchu.

Mrs. Armine przeniosła swój wzrok z niego na namiot, na barwne jedwabne makaty, zakrywające płócienne ściany, na wspaniałe kobierce rozłożone na piasku, na wielką, srebrną wiszącą lampę, na mnóstwo jedwabnych różnej wielkości poduszek, rozrzuconych na podłodze. I znowu nozdrza jej wciągały mdłą i ciężką woń perfum, którą zawsze łączyła z Barondim, a teraz z całym Wschodem i ze wszystkiem co ze Wschodu pochodziło.

Pędzący wielbłąd przeniósł ją w nocy z jednego świata na drugi. Uczuła nagle zmęczenie, miała ochotę położyć się na tych jedwabnych poduszkach, wśród jedwabnych kolorowych ścian, które ją odgradzały od wiecznej ciemności i smutnych obszarów piasku i pozostać tu długo. Instynkt kurtyzany, instynkt lenistwa i roskoszy powstał w jej duszy i ciało jej odpowiedziało temu wonnemu ciepłu, tej atmosferze bogactwa, stworzonej w samym środku pustkowia przez człowieka, który stał przed nią.

Westchnęła i spojrzała mu w oczy.

— Jak się ma Mrs. Armine? — zapytał z lekką ironją, którą zauważyła za pierwszem ich widzeniem się sam na sam... Czy poszedł na szakale?

Nie wiedziała, jakim był jego zamiar, lecz w tej chwili nie mógł powiedzieć nic, coby ją więcej dotknęło. Słowa jego przywiodły jej na pamięć, że wkrótce będzie musiała opuścić ten przybytek roskoszy i wrócić do Nigla i jego obozu. A przytem, jak Ewa ujrzała swą nagość, tak ona ujrzała upokorzenie tej jazdy w nocy z jednego obozu do drugiego, upokorzenie leżące w fakcie, że to ona szukała mężczyzny, że ją sprowadził do siebie, nie zadał sobie trudu przybyć do niej. Pod szminką rumieniec oblał jej twarz, szybko się odwróciła i schyliła by odpiąć zasłonę u wejścia namiotu.

Chciała wyjść, zawołać Ibrahima, opuścić obóz natychmiast. Lecz ręce jej drżały i nie mogła odpiąć firanki. Nie słyszała za sobą żadnego ruchu. Czy Barondi oczekiwał spokojnie jej wyjścia? Ktoś widocznie przymocował firankę u dołu, kiedy weszła. Będzie musiała uklęknąć na dywanie i uwolnić zasłonę. Zdawało się jej w nerwowem rozdrażnieniu, że uklęknąć w tym namiocie byłoby fizyczną oznaką upokorzenia; pomimo tego jednak po chwilowem wahaniu schyliła się do ziemi i wysunęła rękę pod płótno, szukając sznura. Chwyciła coś — nie wiedziała co — i ciągnęła z całych sił.

Właśnie wtedy nocny wiatr, który to dął gwałtownie, to znów opadał, nagle ustał i w tej ciszy odezwały się słabe dźwięki strun, które Mrs. Armine już poprzednio stojąc przed namiotem, słyszała. Dźwięki się powtórzyły, jakaś wschodnia melodya bardzo prosta, a patetyczna doszła jej uszu. To przywiodło jej na myśl — kobiety.

Ręce jej opadły. Pomyślała o tamtym, mniejszym namiocie, stojącym obok namiotu Barondi'ego!

Kto w nim mieszkał?

Melodya wciąż dźwięczała. To mógł być także cichy śpiew ptaka wśród pustkowia pustyni.

Umilkł w ciemności i wiatr zadął znowu.

Mrs. Armine powstała z kolan. Ręce jej drżeć przestały. Nie chciała już wyjść z namiotu.

— Ułóż mi poduszki, Baronni — rzekła — jestem zmęczona jazdą.

Nie ruszył się z miejsca, na którem stał, kiedy weszła, lecz zauważyła, że długa fajka wypadła mu z ręki i leżała na dywanie.

— Gdzie mam je ułożyć? — zapytał poważnie.

Wskazała na stronę znajdującą się bliżej małego namiotu.

— Tutaj, dwie lub trzy poduszki, żebym mogła się oprzeć. Tak dobrze.

Rozpięła płaszcz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Dziś, gdy Święta Wielkanocne należą do dawno już przebrzmiałej przeszłości, gdy ze szaf i kredensów zniknęły bezpowrotnie świąteczne zapasy, które tyle kosztowały kłopotów i pieniędzy, a pozostało po nich jedynie wspomnienie, można, a nawet powinno się rzucić poza siebie wzrok. Oglądanie się jest wprawdzie srogo potępione przez przepisy „savoir vivre'u", dziś przecież uważa się je na ogół za przestarzałe i nikt się do nich nie stosuje. To, co byłoby na twarze naszych babek, a nawet jeszcze i matek wywołało rumieniec oburzenia, jest dziś powszechnie przyjęte i nikogo nie razi. Wystarczy spojrzeć na młodą parę, tańczącą *fox trotte'a* lub *two steep'a*, aby się przekonać, jak radykalnie zmieniły się pod tym względem zapatrywania ogółu. To samo można powiedzieć i o dzisiejszych toaletach damskich, robiących raczej wrażenie... kostyumu kąpielowego, a nie ubrania, w którem można się pokazać w salonie.

Także i przykład żony bł. p. Lota, która oglądnęła się podczas ucieczki z Sodomy i Gomory, nie powinien nikogo odstraszać. Za nieposłuszeństwo rozkazom Pana, została zamienioną w słup soli. Cóż jednak miała biedaczka począć, skoro w pośpiechu zapomniała zabrać ze sobą nową parasolkę, która ją tyle łez kosztowała... Niejeden z dzisiejszych mężów dałby wiele za to, gdyby podobny los spotkał i jego „lepszą połowę". Pozbyłby się w łatwy sposób kłopotu, ponadto paściwszy sól na pasek, miałby i czem łzy otrzeć po stracie kochanej małżonki, zwłaszcza, że zaoszczędziłby sobie i na kosztach pogrzebu.. Taka Weronika, o stu blisko kilogramach żywej wagi, zamieniona na słup soli, przy obecnych wysokich jej cenach, przedstawia, co najmniej, wartość kilku tysięcy marek.

Oglądanie się poza siebie, nie może zatem mieć żadnych ujemnych następstw, i kronikarz nie obawia się zupełnie, aby z tego powodu mógł mieć kogoś, jak to mówią, „na sumieniu".

Za dawniejszych czasów, kiedy to bułka centowa kosztowała w samej rzeczy centa, a życzenia wielkanocne składało się nawzajem przy jajku (sześć za szóstkę...) posypanem pieprzem, podczas Świąt Wielkanocnych używały wszystkie zmysły, jak ich mamy pięć do dyspozycyi, w szczególności zaś oko, powonienie i smak. Dzięki wojnie stosunki o tyle się zmieniły w r. 1921, iż oko i smak zeszły zupełnie na drugi plan, węch zaś używał o tyle, o ile okno mieszkania znajduje się w bezpośredniem sąsiedztwie kuchni jakiegoś szczęśliwca, który mógł sobie pozwolić na podobny wydatek, jak kupienie szynki i gotował ją potem u siebie w domu, cała zaś kamienica „robiła wtedy inhalacye" przyjemnych zapachów, nie podciągniętych jeszcze Bogu dzięki, pod rubrykę „dodatkowych świadczeń" na rzecz właściciela. Na pierwszy plan wybił się natomiast zmysł słuchu. Słyszało się naprzykład, że pan X. z okazyi Świąt poniósł w rodzinie bolesną stratę, zakłuwszy bezrogą, tak słusznie dla swojego niechlujstwa nazywanego „świnią", nie postarał się jednak o to, aby fakt ten mogli stwierdzić jego znajomi wzrokiem, węchem, a przedewszystkiem smakiem. Opowiadano sobie między innemi o kruchutkiej szyneczce u państwa I, o bajecznym wprost serowniku i przekładańcu u pani Z., cóż jednak skorzystał z tego biedak, który tego nie widział, nie wąchał, nie kosztował?... Tamtych „wybranych" było wprawdzie mało, ale byli, ogromna większość natomiast bawiła w tym czasie „w Zakopanem", nie pokazując się nawet w oknie od ulicy.

Bardzo też dowcipnie urządził się pewien młodzian, który w pierwszy dzień Świąt obszedł kilka znajomych domów, dowiadując się wszędzie, że „państwo wyjechali do Zakopanego". Nie chcąc głodować, a widząc, że ataki od frontu nie odnoszą pożądanego skutku, postanowił urządzić operacyę od strony podwórza. W tym celu zamówił kataryniarza i wysłał go na podwórze domu, w którym mieszkają jego znajomi, znani z tego, że lubią dobrze zjeść i wypić i mają za co. Kataryniarz rozpoczął swe produkcye, za nim, w ukryciu, stanął młodzian, czekając na rezultat.

Pierwszy kawałek przebrzmiał bez echa, młodzian był już zrozpaczony, ale nie dawał za wygraną.

Przy drugim kawałku otwarło się okno na pierwszem piętrze, a w niem pojawiła się korpulentna postać pani domu, nad nią zaś, niczem księżyc w pełni, łysina jej małżonka.. Zatem są, choć na drzwiach mieszkania wywieszono kartkę z napisem, że „państwo wyjechali do Zakopanego".

Na to czekał tylko młodzian. Wysunął się z ukrycia, powitał miłośników muzyki pięknym ukłonem i rzekł:

— Błogosławione niech będą tony tej kataryniki, która mnie zwabiła z ulicy... A byłem pewny, że państwo w Zakopanem... Skorzystam zatem ze sposobności, aby osobiście złożyć życzenia...

I cóż było robić?... Trzeba było gościa przyjąć, bo trudno w ciągu kilku minut uprzątnąć stół, zastawiony różnymi smakołykami. Młodzian tryumfował, państwo widocznie przeklinali swe zamiłowanie do muzyki, które im „gościa na kark ściągnęło".

Wydatek kilku marek na kataryniarza opłacił się sowicie. Młodzian jadł i pił za trzech, miał bowiem apetyt i pragnienie, spotęgowane jeszcze bezskutecznem „zrobieniem" kilkunastu pięter. Ostatecznie rozkrochmalił się pan radca, ciesząc się, że ma towarzystwo, pogodziła się z losem i pani radczyni, gdy połaskotał jej ambicyę, jako gospodyni, mogącej innym służyć za wzór.

Pokazuje się z tego, że i katarynka może czasem w życiu ludzkiem odegrać ważną rolę...

Wobec tej masowej ewakuacyi Krakowian w stronę Zakopanego, należało się spodziewać, że w tym czasie będzie tam panować przeludnienie. Tak jednak nie było. Ci, którzy wybrali się naprawdę w Tatry, stwierdzają, że zjechało się tam stosunkowo więcej „taterników", niż zwykle w tym czasie, można przecież było jakoś jeszcze wytrzymać i znaleźć kawałek dachu nad głową.

Nazajutrz po Świętach, podsłuchał kronikarz następującą rozmowę dwu obywateli rozszerzonego Krakowa:

— A!... Sługa kochanego radcy!... Jakże tam spędziło się Święta?

— Nie najgorzej! Byliśmy w Zakopanem.

— To tak samo, jak i my!... A dopisała wodej pogoda?

— Skoro pan był, musi pan wiedzieć.

— Przyznam się kochanemu radcy, że nie byłem...

— I ja także nie.

Czyli innemi mówiąc słowy, tak jak dawniej było w modzie przysłowie: „Przez imaginacyę pojechał na koronacyę", dziś, gdy Polska jest republiką i koronacyi nie urządza, zastąpiło je nowe „Na urojonego pojechał do Zakopanego" (z powodu braku święconego).

„Taternicy" krakowscy siedzieli więc przez dwa dni przeważnie w domu, do ich rzędu należał także i kronikarz, nie zaprosił go bowiem nawet i ów przyjaciel, który zamordował świnię, na oddanie jej ostatniej posługi. Rozmyślał zatem i przebierał tytoń fajkowy, którego paczuszka kosztuje szesnaście marek. Tytoniu jest w niej wprawdzie mało, za to śmieci dużo, ma się więc zabawę, wartającą daleko więcej.

Weronika natomiast odwiedziła kilka swoich przyjaciółek i nie żałuje fatygi. Zastała je w domu, a przyjęcie, jakie ją tam spotkało, dało jej temat do opowiadania na cały wieczór. Były to przeważnie damy, oddające się pracy społecznej i biorące żywy udział w różnych komitetach rozdawnictwa. Za to poświęcenie się dla dobra cierpiących niedostatek, nagradza je też Pan Bóg już tu na ziemi. Nie brakowało też u żadnej i szyneczki i cielęcinki, kiełbasa owijała się z wdziękiem dookoła polędwicy, otaczały zaś smakowitem kołem baby, placki, torty, mazurki. Na Weronikę tak to podziałało zachęcająco, iż postanowiła w najbliższym już czasie zabrać się też do ocierania łez nieszczęśliwym i spieszenia z pomocą potrzebującym, a wtedy i nam zacznie się może lepiej powodzić.

Wobec tego owa babka, którą upiekła, aby zaimponować swym przyjaciółkom nie spełniła swego zadania. Przez dwa dni nie było Weroniki popołudniu w domu, babka pozostała zatem nienaruszoną. Żal ją było napoczynać bez gości, ile razy wzięło się nóż do ręki, by jej zadać cios ostateczny, przychodziło na myśl, ile kosztowała i decydowano się czekać, może przecież kto przyjdzie. Skutkiem swego czekania zeschła zupełnie, że zaś każda baba traci z wiekiem na wartości, i ona wreszcie zamienioną została na sucharki i tylko dzięki temu mógł kronikarz skonstatować, że była wprawdzie należycie „wyruszana", ale mało słodka.

Nie zmarnowała się przecież. Przez Święta, jako babka, pasła oczy, po Świętach, jako sucharki, poszła na ofiarę dla żołądka.

A nie tylko właściwy Kraków wybrał się na Święta „do Zakopanego". To samo uczyniły i gminy przyłączone, aby w ten sposób zamanifestować swą wielkomiejskość. I Emaus zatem i Rękawka, nie były tem, czem po inne lata. Wskutek wojny staropolska gościnność Krakowian tak chętnie wstępujących w ślady Wierzynka, wzięła raz na zawsze, jak się zdaje, w łeb. Nawet krewni wobec krewnych trzymali się w rezerwie, zapowiadając im dwa tygodnie przedtem, że Świąt nie urządzają, *post festum* zwracając się natomiast z wyrzutem:

— Nie przyszedłeś na święcone, a liczyliśmy na ciebie!...

W Przewodnią Niedzielę urządza corocznie Kleparz święcone, poprawiając je w poniedziałek. Niestety, w tej okolicy zbyt mało ma kronikarz takich znajomych, których warto byłoby odwiedzić.

Konkluzya z tego, że, gdyby nie owa babka, która zeschła, Święta nie różniłyby się niczem od zwykłych dni w roku, że się można bez nich zupełnie spokojnie obejść, a wychodzi na tem dobrze i kieszeń i zdrowie, którego nie trzeba potem doprowadzać w sztuczny sposób do równowagi.

Wobec tego nasz Sejm, nie mając po uchwaleniu Konstytucyi nic lepszego do roboty, powinien się zająć jeszcze przed swem rozwiązaniem, ustawowem zniesieniem wszelkiego rodzaju świąt i uroczystości z okazyi których narażoną bywa na niebezpieczeństwo kieszeń głowy rodziny, czyli tak zwanego „pana domu", niewiadomo dlaczego noszącego tak szumny tytuł, skoro z jego wolą nikt się w domu z zasady nie liczy. Przypomina on „radcę cesarskiego", z której to kategoryi dygnitarzy żaden nie doczekał się tego szczęścia, by módz radzić cesarzowi. Mają też byli radcy cesarscy spokojne sumienie i sen (o ile naturalnie nie trudnią się paskiem!...), że w sprawie wybuchu wojny światowej nie ponoszą żadnej winy.

Kto zatem przez Niedzielę i Poniedziałek Wielkanocny rzetelnie pościł, a głodówkę kontynuował przez wtorek (po dwu dniach świąt w Krakowie z zasady nic do jedzenia nie dostanie), ciesząc się nadzieją, że we środę odje te i odpije z nadwyżką, ten spotkał się z przykrem rozczarowaniem. Dzień ten, to dzień postu ścisłego, naznaczonego nie przez Kościół, który dawniej zajmował się postami, lecz przez pana ministra aprowizacyi, który nas chce odzwyczaić od jedzenia, aby w ten sposób ułatwić nam przetrzymanie uciążliwego przednowku (trwającego, rzecz dziwna, w Polsce rok cały!...), sobie zaś urzędowanie. Bo i cóż łatwiejszego, jak zakazać jeść?... Do wydania podobnego zarządzenia „aprowizacyjnego", nie potrzeba nawet specyalnego ministra, zająć się tem może każdy inny, choćby nawet... Kultury i Sztuki, która z aprowizacyą ma bardzo wiele wspólnego, choćby tylko ze względu na mydło, wyrabiane z tłuszczu, a mające świadczyć o kulturze danego kraju, lub ludna „sztuka mięsa z kwiatkiem", którą dziś wynaleźć prawdziwa sztuka.

Pan minister aprowizacyi wydał zatem zakaz sprzedawania w pewne dni rozmaitych artykułów spożywczych, spodziewając się, że w ten sposób wpłynie na poprawę sytuacyi. Pić natomiast w one dni wolno każdemu, ile tylko zechce (i o ile go stać na podobny wydatek...), oczywiście jedynie tylko „ze zmartwienia". Posłuszni ludzie nie żałują też sobie, choć kieliszek wódki kosztuje dziś trzydzieści marek, nie wykazuje zaś tyle stopni alkoholu.

Zarządzenie pana ministra jest bardzo racyonalne i za jednym zamachem urwie łeb hydrze aprowizacyjnej. Na brak artykułów spożywczych obecnie nikt już nie może narzekać, chyba na niemożność ich nabycia. Wskazuje to w każdym razie na znaczne polepszenie się stosunków aprowizacyjnych w kraju i skłania pana ministra do wydania dalszej seryi podobnych „środków ratunku". Na razie wspominają o nich jedynie pisma humorystyczne, ale dziś jedynie one traktują rzecz seryo. Tak w najbliższym już czasie ma się pojawić zakaz sprzedaży artykułów spożywczych przez pierwsze trzy dni w tygodniu, oraz zakaz nabywania ich przez następne trzy dni. Wolno natomiast zaopatrywać się w nie w niedzielę, kiedy sklepy, na mocy ustawy o spoczynku niedzielnym, mają być zamknięte.

Powyższe zarządzenie wpłynąć powinno bardzo dodatnio na nasz handel wewnętrzny i z zagranicą. Wewnątrz kraju ożywi się „pasek", w którym będzie się można w dalszym ciągu we wszystko zaopatrzyć. uzyskany zaś w ten sposób „nadmiar artykułów spożywczych" skieruje się za granicę, gdzie się go zamieni n. p. na... nawozy sztuczne, gdy brak naturalnych. Równocześnie podniesie się i wartość naszej waluty, pan minister aprowizacyi zaś, w pełnem przekonaniu, że należycie wywiązał się ze swego zadania, będzie mógł spokojnie... poprosić o dymisyę.



Kustosz zbiorów wawelskich: Artysta malarz i rzeźbiarz Aleksander Borawski.

Kustosz zbiorów wawelskich

Do nikogo może nie dadzą się trafniej zastosować słowa poety: „Cudze chwalicie, swego nie znacie...", jak do Aleksandra Borawskiego, kustosza zbiorów artystycznych przy Kierownictwie Odbudowy Wawelu. Od lat blisko dwu zajmuje to stanowisko, a niewielu z pomiędzy Krakowian wie o tem, jak wybitna siła powiększyła grono naszych artystów plastyków. Nie mamy tu naturalnie na myśli tej części naszego społeczeństwa, która odwiedza Wystawę Tow. Sztuk Pięknych, gdyż posiada akcyę i uważa, że jest to objawem dobrego tonu, kupuje nawet obrazy i rzeźby, gdyż jest to dziś bardzo dobra lokata kapitału, ale sfery kochające Sztukę i interesujące się naprawdę jej przejawami.

A i z tych, którzy słyszeli już coś o Borawskim, bardzo wielu nie wie o tem, że to artysta naprawdę z „Bożej łaski", mający zupełnie słuszne prawo do tego, aby wartość jego znała i oceniała należycie nie tylko zagranica, lecz i swoi.

Wykształcony w Warszawie pod kierunkiem Gersona i Kamińskiego, uzyskawszy niewielkie stypendyum Kopernika z Zachęty Sztuk Pięknych, wyjeżdża na studya dalsze do Paryża, gdzie bliżej styka się z Godebskim. Ciężkie warunki materyalne nie pozwalają mu jednak oddać się, jakby tego pragnął, całą duszą umiłowanej Sztuce. Na utrzymanie zarabiać musi pracą u antykwaryusza Andre'go. — W tym czasie w Salonie paryskim wystawia swą rzeźbę, przyjętą bardzo przychylnie przez krytykę francuską. Znękany przeciwnościami losu, wraca do Warszawy, gdzie kontynuuje swą działalność artystyczną w dziedzinie malarstwa i rzeźby, poświęcając się poza tem restauracyi zabytków Sztuki, w czem dochodzi do mistrzowstwa. Odnawia między innemi słynne figury w Ogrodzie Saskim. Zyskuje uznanie, nie mogąc się jednak doczekać poprawy bytu materyalnego, opuszcza kraj i w poszukiwaniu kawałka chleba wybiera się do Petersburga. Tam znajduje sposobność do rozwinięcia w całej pełni swej artystycznej działalności, początkowo w dziedzinie malarstwa dekoracyjnego, głównie kościelnego, następnie portretu. W tym ostatnim dziale (Galerya portretów arcybiskupów mohilewskich, rektorów Akademii duchownej, wybitnych działaczów społecznych) dorobek jego artystyczny jest tak obfity i tak wartościowy, iż stawia Borawskiego na równi z najznakomitszymi naszymi mistrzami pendzla, jak Matejko, Pochwalski, Lenc.



Kustosz zbiorów wawelskich: Portret prof. St. Ptaszyckiego pendzla A. Borawskiego.

Intenzywna działalność artystyczna nie zasklepia go jednak w czterech ścianach pracowni. Bierze żywy udział w życiu nadnewskiej Polonii, należąc niemal do wszystkich instytucyi i organizacyi o charakterze narodowym. Główną jego troską jest wyszukiwanie i ochrona zabytków polskiej sztuki, jak gdyby przewidywał, że niedługo nadejdzie chwila, iż społeczeństwo polskie upomni się o nie skutecznie. W tym kierunku rozwija niestrudzoną działalność, pisze też wiele, prace swe drukując w prasie krajowej i zagranicznej.

Wypadki wojenne zmuszają go do pozostawienia nad Newą na łaskę losu całego dobytku i powrotu do Warszawy, gdzie boryka się dalej z losem, tym razem już między swymi, traci nadto ukochaną żonę, prawdziwą pocieszycielkę na drodze swe o ciernistego żywota.

W lipcu 1919 na wezwanie prof. Szyszko-Bohusza, który znał i oceniał należycie działalność artystyczną Borawskiego, obejmuje przy Kierownictwie Odbudowy Wawelu stanowisko kustosza, mając za zadanie opiekę nad zabytkami Sztuki, gromadzącymi się tutaj coraz obficiej, ich porządkowanie, konserwacyę i restauracyę.

Dla Krakowa Borawski obcym być nie powinien. Bawił tu w r. 1904, wezwany przez dyr. Hendla, celem odnowienia malowideł w kaplicy Maciejowskiego na Wawelu.

W dniu 9 kwietnia b. r. wygłosi Borawski, na zaproszenie Zarządu Muzeum Techniczno-Przemysłowego im. dra A. Baranieckiego, odczyt na temat zabytków sztuki polskiej, znajdujących się w Rosyi. Pomijając już aktualność sprawy, stojącej w ścisłym związku z podpisaniem pokoju ryskiego i grantowną znajomość Borawskiego tych stosunków, cieszyć się wypada, że Kraków znajdzie sposobność bliższego zetknięcia się z artystą, tak mało przez własne społeczeństwo znanym i należycie niedocenianym, gdyż nie szukał nigdy krzykliwej reklamy, a Sztuce służył zawsze z umiłowania jej, a nie dla zysku materyalnego.



Kustosz zbiorów wawelskich: Portret biskupa Niedziałkowskiego z Borawskiego galeryi rektorów petersburskiej Akademii duchownej.



Ze smutnych wspomnień: Rozpoznawanie ofiar mordów bolszewickich w Charkowie odkopanych przy ulicy Czajkowskiego.

Ze smutnych wspomnień.

Więc pytają siebie samych ci wszyscy z Polaków, co przybyli z Rosyi — czy to rzeczywiście kończy się wojna? Czy to rzeczywiście będzie można i kiedy udać się tam, aby zobaczyć: czy się straciło wszystko pozostawione, przekonać się, czy żyją drogie i znajome osoby, czy też ze strasznym bólem i zawodem ma się do stwierdzenia, że się jest posiadaczem tylko tego, co się ma na sobie i że się jest na świecie samym — już bez tych, których się kochało, z kim się kiedyś żyło.

Niema dziś rodziny, któraby nie przeszła tragedyi w okresie wojny wszechświatowej, zbyt dużo nawet mają wszyscy w swej pamięci epizodów, aby one przy wzajemnym opowiadaniu nie zmęczyły do ostatka.

I dopiero po oddaleniu się, choćby dziś, możliwem się staje powrócenie do pewnych wspomnień, do spojrzenia na podobizny fotograficzne przypominające pobyt w Rosyi, co nieraz się stawał, że wierzyć się nie chciało, iż to na jawie było, że mogło mieć miejsce, że tolerował świat długo rozwój zamozatracenia się ludzkiego w tak okrutny, przechodzący wszelką fantazyę obłąkańca, sposób.

Pastwienie się ludzi, zachowujących się na pozór normalnie, pastwienie się planowe, z premedytacyą, spychanie ludzi żywych do dołów z nakazu przez nich samych dla siebie wykopywanych, uciekających z tychże dołów, po dwudziestoczterogodzinnem leżeniu pod trupami współtowarzyszy niedoli, — te

piekło w „czerezwyczajkach“ ozdobionych w oknach „rękawiczkami ze skóry ludzkiej“, zdartemi z kości po rozcięciu skóry wokół ręki niżej łokcia — toć to okropne! Nieszczęśliwe wzdęte trupy wydobywane z przepełnionych dołów — zdawały się krzyczeć do nieba o pomstę za haniebne, okrutne, nie zwierzęce, bo zwierzę na tak wyrafinowane pastwienie się nigdy nie jest zdolne — ale za te czyny ludzi ziejących nienawiścią, spełniających to, co po rewolucyi w Rosyi zapowiedzieli, ogłaszając widowiska kinematograficzne pod tytułem „gibiel nacji“ (zatracenie plemienia).



Ze smutnych wspomnień: Budynek „czerezwyczajki“ w Charkowie przy ulicy Czajkowskiego.

Kolosalnych plakatów, już wtedy, w roku 1917 bardzo kosztownych, z krwawym napisem, nikt nie zdzierał, wszyscy czytali i Rosyanie mijali je, tolerując buszowanie czynników niosących jawną zgubę, zataczających najswobodniej swą okrutną, bezwzględną robotę, tyranię, okrucieństwo, w stosunku do obcej rasy i wyznania.

Przypomina się to splugawienie świątyń rosyjskich, to zlekceważenie i pomiatanie, stosowane do naszych zasłużonych wobec kultury wszechświatowej, wobec własnego narodu, ludzi — poświęconych dobru rodaków na obczyźnie.

Polacy w Rosyi należeli do ludzi pracy we wszystkich dziedzinach jakie tylko istnieją w ogólnem uruchomieniu życia, nie służyli w policyi rosyjskiej, to też niepodobna zapomnieć, co się działo z chwilą przerwania w jesieni 1918 roku możności powrotu, czy jak dla innych, wyjazdu do kraju. Rozpacz bez graniczna ogarnęła wszystkich, którym nie udało się wyjechać.

I wtedy, jak świetlany obraz stanęło przypomnienie niebywałej nigdy przedtem i nie do powtórzenia już kiedykolwiekbądź w Rosyi, w Petersburgu, procesyi na Boże Ciało tegoż roku 1918, kiedyto z pieśnią błagalną na ustach, rozciągnęła się formalnie na kilka wiorst, bajecznie kolorowa wstęga, jakiej nie widziałem nigdy, ani w Warszawie, ani w Krakowie — z dzieci, dziewcząteк, dziewic z bractw kościelnych, z młodzieży szkolnej, robotników z chorągwiami i sztandarami, inteligencyi, wojska polskiego wówczas w Rosyi formowanego, ze swoim Naczelnym Komitetem, otaczającym arcybiskupa Roopa, niosącego monstrancyę z kościoła metropolitalnego z ulicy 1-ej Roty do ołtarza na cmentarzu katolickim na Wyborskiej stronie.

Było w tej wówczas modlitwie coś, co łzami zalewało twarz, co Ojczyznę przypominało, co tęsknotą rozpierało piersi, coś, co z upragnienia znalezienia się na ziemi własnej, spokoju i snu nie dawało.

Szła wtedy procesya w słońcu ze śpiewem zgodnym i tęsknym, szła bez bicia dzwonów, a w uszach dźwięczały one jak echo słyszanych kiedyś w Ojczyźnie...

Rosyanie klękali z podziwu, wyczerpani w walce o prawa do swoich własnych świętości. *A. A.*

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Częstochowa po plebiscycie.

(Do illustracyi na stronie 3. i 4.).

Na Jasną Górę!

Oto okrzyk, wyrywający się z piersi na pierwszą wieść o zwycięstwie górnośląskiem.

Płynie lud nieprzerwaną falą; na wszystkich twarzach radość promienna, w oczach łzy z trudem tajone. Górny Śląsk wraca do Polski!

Idą szkoły ze sztandarami, posłowie, duchowieństwo, ochronki, kolejarze, sądownicy, reprezentanci władz miejskich, wojsko, orkiestry i tłumy, tłumy nieprzejrzane. Idą w blaskach wiosennego słońca dziękować Jasnogórskiej Królowej, Polski Patronce.

Południe. Pod Jasną Górą mrowie ludu. Uroczyste nabożeństwo dziękczynne przed szczytem w asystencyi OO. Paulinów odprawia ks. biskup Krynicki. Rozlega się pieśń stara, oddania pełna — „Serdeczna Matko...“

Na prowizoryczną ambonę wchodzi złotousty kaznodzieja, ks. kan. Wróblewski. Mówi o tej chwili dzisiejszej, oddaje hołd poległym, którzy krwią dla Ojczyzny przelaną, zbliżyli dzień chwały.

Słowem natchnionem gorącem trafia do wszystkich serc, w jeden rytm bijących. Kończy okrzykiem na cześć Polski nieśmiertelnej, Górnego Śląska i dzielnego ludu śląskiego.

Dziesiątki tysięcy głosów entuzyastycznie podchwytują okrzyk, powtarzając go kilkakroć.

Następnie ks. kan. Wróblewski intonuje „ku pokrzepieniu serc“, „Rotę“. Potężna pieśń płynie pod strop rozsłonecznionych niebios. Potem grzmiący okrzyk na cześć umiłowanej Ojczyzny i korna modlitwa „Pod Twoją Obronę“.

Uroczystość skończona. Ruszają pochodem szkoły, delegacye i tłumy niezliczone. Na placu przed Magistratem raz jeszcze przemawia ks. kan. Wróblewski. Oddaje hołd wszystkim, którzy się do połączenia Górnego Śląska z Macierzą przyczynili. Między innemi wznosi okrzyki na cześć patryotycznych mas pracujących i komitetu plebiscytowego; podejmują je gorąco tysiączne tłumy.

Częstochowa przeżyła dzień niezapomniany!

Ze sportu.

Turniej footballowy urządzony przez K. S. „Cracovię“.

W dniu 3. i 4. kwietnia b. r. urządziła „Cracovia“ turniej footballowy, w którym wzięły udział drużyny górnośląskie. Kluby sportowe górnośląskie, mające dotąd z wielu trudnościami do walczenia, nie mogły się należycie rozwinąć — rokują przecież na przyszłość jak najlepsze nadzieje.

W pierwszy dzień zawodów spotkały się:

„Naprzód“ G. Śląsk—„Cracovia II.“. — 1:3

Turniej rozpoczęli dość ostrem tempem, które zwolna ustępowało więcej technice gry. „Cracovia“ opanowawszy chwilowo sytuacyę wykorzystała przez prawo-skrzydłowego p. Alfusa, punkt pierwszy.

Niedługo potem Górnoślązacy zdobywają pię knym strzałem jeden punkt dla swych barw.

„Cracovia“ uzyskuje jeszcze punkt drugi i trzeci, który to wynik pozostaje do końca gry.

Po skończeniu zawodów pierwszych występuje na boisko:

„Sturm“ Bielsko—„Cracovia I.“. — 0:6.

Gra tychże nabrała emocyi sportowych, od pierwszej chwili i toczyła się przy żywem tempie.

W „Cracovii“ po raz pierwszy wystąpił w tym sezonie p. Mielech w ataku, a forma jego daje rękojmię, iż w krótkim czasie stanie on na poziomie, na jakim zauważyliśmy go przed dwoma laty, tembardziej, że śliczny bieg jego przypomina w całości Poznańskiego, który znany był z przebijania się przez obronę.

W 3-ciej min. Kotapka z podania Mielecha uzyskuje punkt pierwszy. W 13 tej min. Mielech imponującym strzałem pakuje piłkę do bramki. W 23 min. Kotapka uzyskuje punkt trzeci. Po pauzie w 7 mej min. Kałuża bajecznym strzałem zdobywa punkt czwarty.

Bielszczanie widać zdezorganizowani swem niepowodzeniem, ograniczają się do samoobrony, czego dowodem, iż w 31-szej min. center pom. sam pakuje sobie piłkę do bramki.

W 41-szej min. Mielech uzyskuje jeszcze jeden strzał, który zakończył niedzielne zawody.

W drugi dzień zawodów t. j. w poniedziałek, nadeszła ostateczna chwila, kto uzyska palmę zwycięstwa. — Match zaczęła:



Turniej footbalowy urządzony przez K. S. „Cracovię“. Drużyna „Cracovii I“ zdobywczyni dyplomu pochwalnego z prezesem drem Cetnarowskim w pośrodku.

„Cracovia II.“—„Sturm“ Bielsko. — 1:1.

Tym razem trzeba zaznaczyć, iż „Cracovia II.“ godnie reprezentowała barwy swego klubu.

„Sturm“ opanowawszy pole, zdobywa pierwszy punkt w 39-tej min. Do pauzy żadna strona nie zagrażała przeciwnikowi, a ładne ataki jakie przeprowadzali Bielszczanie, rozbijały się o dzielną obronę „Cracovii“.

Po pauzie „Cracovia“ rewanżuje się uzyskując przez p. Reymana (jun.) w 16 tej min. jeden punkt, Górnoślązacy, którzy częściowo zagrażali bramce „Cracovii“, nie uzyskali punktu.

Po skończeniu zawodów prezes dr. Cetnarowski w otoczeniu drużyny i tłumów publiczności wręczył dyplom kap. drużyny p. Synowcowi, a krótka przemowa tegoż, wniosła nastrój dawno już niewidziany w kołach sportowych. Po licznych okrzykach na cześć prezesa, drużyna „Cracovii I.“ zeszła z boiska, życząc sobie dalszych tak pięknych wyników.

Łedo.



Turniej footballowy urządzony przez K. S. Cracovię: Drużyna footballowa górnośląska z Lipin.

który wyrównuje dotychczasowy wynik. Mało zdolnym był Just, którego forma dawała dużo do życzenia, dotyczy to ostatniej decyzyi pod bramką i strzelania.

Drugi match:

„Cracovia I.“—„Naprzód“ G. Śląsk. — 10:0.

Gra nie była wysoce interesująca, z braku obopólnej akcyi. Toczyła się ona przeważnie na stronie Górnoślązaków. — Kałuża tym razem uzyskał 8 punktów na korzyść swego klubu, Kotapka 1. punkt i prawy łącznik Zimowski 1. punkt.

Kącik humorystyczny.

Zabawa w plebiscyt.

W pokoju dzieci słychać krzyki. Wpada mama i zastaje Władka okładającego młodszego brata Stasia i wrzeszczącego przytem w niebogłosy. Obok stoi siostra, Mania, przyglądając się spokojnie zapasom.

— Pfe Władziu! — strofuje mama — Nie powinno się bić młodszego od siebie!... A do tego krzyczysz, jak gdyby tobie działa się krzywda...

A zwracając się do Mani, mówi:

— Jako najstarsza, nie powinnaś na to pozwolić, aby silniejszy bił słabszego...

— Kiedy, mamusiu — Mania jej na to — oni się bawią w plebiscyt. Władek jest Niemiec, a Staś jest Polak. Ja jestem Koalicya... Mnie Władek obiecał cukierka, jeżeli nie będę przeszkadzać!...

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczęliśmy drugi kwartał naszego Wydawnictwa. Upraszamy zatem Szanownych P. P. Prenumeratorów naszych, o rychłe nadesłanie prenumeraty na drugi kwartał 1921 roku, celem uniknięcia przerwy w przesyłce, kto jej bowiem nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie . . .	197·60 Mkp.
Półrocznie . . .	395·20 „
Rocznie	790·40 „

Pojedynczy egzemplarz **Mkp. 16.**

Nadesłane.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył Eward L., Nisko.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego współczesnego poety:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej związek, 2. Dopływ Wisły, 3. Drogi kamień, 4. Postać biblijna 5. Wyżyna w Azyi

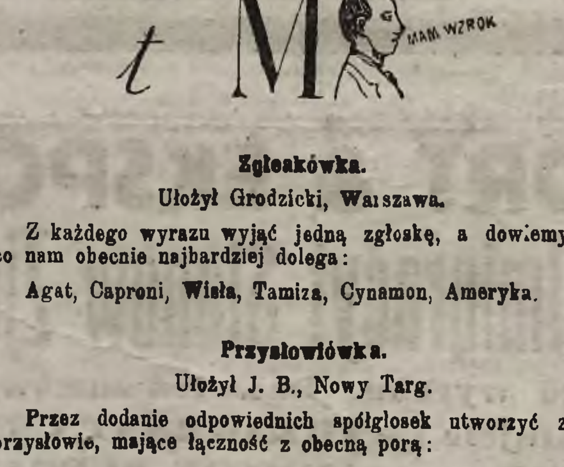
Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. B., Nowy Targ.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwę jednego ze świąt katolickich:

— ola
— oda
— ran
— dam
— oła
— oga
— gar
— ola
— pis
— oga
— dzi
— zep

REBUS.



Zgłoskówka.

Ułożył Grodzicki, Warszawa.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę, a dowiemy się, co nam obecnie najbardziej dolega:

Agat, Caproni, Wisła, Tamiza, Cynamon, Ameryka.

Przysłowiówka.

Ułożył J. B., Nowy Targ.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane przysłowie, mające łączność z obecną porą:

--ie-ie---e-ie--ó---e--a-a--o--ę-i-y--o--ę-a-a.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza „Bez dogmatu“ (powieść; 2) Kalenderz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 13.

Grzebieniówka: Wisła, 1, Edwin, 1, Kanin, a, Nisko, e Cezar.

Trójkąt magiczny: Śmigus, marka, imam, gil, Ur, s.

Kryształówka: Pasek, katar, Solon, termy, Marya.

Zadanie do uzupełnienia: Zola, mora, Arab, ryba, toga, woda, York, cyna, hora, wóli, Soła, toga, Apis, noga, imam, Ezop.

Szarada: Rękawka.

Łamigłówka: Wesołego Alleluja.

Zagadka literacka: Emancypantki, Mohort, Anhelli, Uskoki, Sonety krymskie.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Cegielski Warszawa, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło J. Opolski Łódź, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, S. Kowal Warszawa, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, Z. Zawadzki Wadowice, J. Jabłoński Lublin, J Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne. M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Zborowski Lwów, S. Balicki Radom. W. Śmieszek Lublin, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórsk, Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Malinowski Warszawa, M. Lisowski Stanisławów, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Has Kraków, H. Blonder Kraków. Marylka Kubicówna Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Cegielski Warszawa (książka), 2) H. Boratyńska, Poznań (kalendarz), 3) J. Sadowski, Kraków (obraz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.